

HOFFMANN E.

T.

PANNA DE SCUDÉRY

Hoffmann T. E.

Panna de Scudéry

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=23531842

Panna de Scudéry:

Аннотация

Pewnej jesiennej nocy 1680 roku ktoś dobija się do bram dworku Magdaleny de Scudéry, poważanej na dworze i chwalonej przez samego Króla Słońce poetki. Następnego dnia starsza pani z przerażeniem odkrywa, że nocna wizyta miała związek z serią tajemniczych morderstw, które niedawno wstrząsnęły Paryżem. Ktoś, kto ciosem w serce zabija zakochanych szlachciców i kradnie im biżuterię, którą pragnęli obdarować swoje wybranki, zostawił dla niej wiadomość. Panna de Scudéry, mimo iż wcześniej zbagatelizowała niepokój Paryżan słowami: „Kochanek, który obawia się złodziei, nie jest godzien miłości”, włącza się w poszukiwanie zbrodniarza. Sprawa nie jest jednak ani jednoznaczna, ani prosta. Kto jest naprawdę winny? Czy rzeczywiście w Paryżu grasuje szajka bezlitosnych złodziei, a może prawda jest jeszcze mroczniejsza? Intryga, szantaż, morderstwa, obsesja – wszystko to znajdziecie na kartach tej pełnej napięcia noweli kryminalnej, w której wydarzenia i postacie fikcyjne mieszają się z historycznymi.

Содержание

Конец ознакомительного фрагмента.

29

E. T. A. Hoffmann

Panna de Scudéry

W małym dworku przy ulicy Saint-Honoré mieszkała panna Magdalena de Scudéry, znana autorka zgrabnych utworów poetyckich, ulubienica Ludwika XIV i pani de Maintenon.

Pewnego dnia późno w nocy – było to w jesieni 1680 roku – zaczął ktoś silnie i gwałtownie kołatać do drzwi dworku, tak że cała sień rozbrzmiewała głośnym echem. Baptysta, który w małym gospodarstwie panny de Scudéry piastował godność kucharza a zarazem służącego i odźwiernego, wyjechał za pozwoleniem pani na wieś, na ślub siostry, w domu więc czuwała tylko pokojówka, imieniem Martinière. Słyszała ona powtarzające się kołatanie i przypomniała sobie, że Baptysta wyjechał i że obie z panią zostały same, bez niczyjej opieki. Wszystkie zbrodnie, włamania, kradzieże i morderstwa, zdarzające się wówczas tak często w Paryżu, stanęły jej nagle żywo przed oczyma i była niemal pewna, że banda rabusiów, dowiedziawszy się o osamotnieniu domu, czeka przed bramą i zamierza napaść na znajdujące się wewnątrz kobiety. Dlatego też strwożona i drżąca nie opuszczała swego pokoiku, złorzeczając Baptyście i ślubowi jego siostry.

Tymczasem kołatanie nie ustawało, a chwilami zdawało się jej, że słyszy głos jakiś, wołający wśród łomotu:

– Otwórzcie, na miłość boską, otwórzcie przecie!

Wreszcie, coraz bardziej drżąc ze strachu, chwyciła szybko lichtarz z płonąca świecą i wybiegła do sieni. Tutaj słyszała już wyraźnie głos pukającego:

– Otwórzcie, na miłość boską!

„Tak chyba nie przemawia żaden opryszek – pomyślała – ktoś wie, czy jakiś prześladowany człowiek nie szuka opieki u mojej pani, znanej z tylu dobrodziejstw. Ale ostrożność nie zawadzi nigdy”.

Otworzyła okno i zapytała, kto dobija się do bramy o tak późnej godzinie i budzi wszystkich ze snu. Mówiła to głosem głębokim, aby jak najbardziej był podobny do męskiego. W blaskach promieni księżyca, które właśnie przedarły się przez czarne chmury, spostrzegła wysoką postać, owiniętą w jasnoszary płaszcz, w dużym kapeluszu, naciśniętym głęboko oczy.

– Baptysto, Klaudiuszu, Piotrze – zawołała głośno, aby stojący na dole mógł usłyszeć – wstańcie no i zobaczcie, co to za nicpoń chce nam rozbić bramę!

Z dołu odpowiedział jej łagodny, jęklivy głos:

– Ach, panno Martinière, wiem przecie, że to ty jesteś, chociaż starasz się, pani, głos zmienić. Wiem także, że Baptysta pojechał na wieś i że jesteś w domu sama z panią. Ale otwórz spokojnie, nie bój się niczego! Muszę koniecznie pomówić z twoją panią, i to jeszcze w tej chwili!

– Cóż pan sobie myślisz? – odpowiedziała Martinière. – Chcesz pan mówić z moją panią w nocy, o tej godzinie? Czyż

nie wiesz, że już dawno śpi, a ja za żadną cenę nie zbudzę jej z pierwszej słodkiej drzemki, której w tym wieku tak potrzebuje?

– Wiem, że twoja pani – mówił stojący na dole – dopiero przed chwilą odłożyła rękopis swego romansu *Celia*, nad którym teraz gorliwie pracuje, i zapewne pisze jeszcze ostatnie wiersze, aby je jutro odczytać markizie de Maintenon. Zaklinam cię, panno Martinière, miej litość nade mną i otwórz drzwi. Wiedz, że chodzi o to, aby nieszczęśliwego człowieka uratować od zguby, wiedz, że honor, wolność, a nawet życie jego zawisły od chwili, kiedy pomówię z twoją panią. Pomyśl tylko, że pani wieczyście pogniewała by się na ciebie, gdyby się dowiedziała, że odpędziłaś nielitościwie od drzwi nieszczęśliwca, który przyszedł błagać ją o pomoc.

– Ale czemu chcesz pan z nią mówić o tak niezwyklej porze? Przyjdź jutro we właściwej godzinie! – odpowiedziała.

– Czy los, który spada, niszcząc jak piorun, troszczy się o czas i godzinę? Czy można odwłóczyć pomoc, gdy każda chwila jest droga? Otwórz drzwi! Nie obawiaj się biedaka, który opuszczony przez cały świat, prześladowany, przygnieciony niezmiernym nieszczęściem pragnie błagać twą panią o ratunek w groźnym niebezpieczeństwie!

Martinière usłyszała, że stojący na dole westchnął i zaszlochał mówiąc te słowa, przy tym głos jego łagodny i młodzieńczy poruszył głęboko jej serce. Nie namyślając się dłużej, przyniosła klucze.

Skoro tylko drzwi otworzyła, nieznajomy, owinięty szczelnie

w płaszcz, wtargnął do wnętrza domu i idąc przodem przez sień, krzyczał dzikim głosem:

– Prowadź mnie do pani!

Przerażona Martinière podniosła w górę świecznik, a wtedy blask światła padł na trupioblada, strasznie wykrzywioną twarz młodzieńca. Omal też nie upadła na ziemię ze strachu, gdy mężczyzna rozsunał płaszcz, a za pasem ukazała się błyszcząca rękojeść sztyletu.

Spojrzał na nią iskrzącymi oczyma i krzyknął jeszcze bardziej dziko:

– Prowadź mnie do pani, powiadam ci!

Martinière nie wątpiła już, że pani jej grozi wielkie niebezpieczeństwo. Miłość do ukochanej opiekunki, którą uwielbiała jak własną matkę, zapłonęła silniej w jej sercu i wznieciła w niej dziwną odwagę, jakiej sama nie spodziewała się po sobie. Zamknęła prędko drzwi swego pokoiku, stojące dotąd otworem, i zastąpiła drogę nieznanemu.

– W istocie – rzekła pewnie i stanowczo – pańskie szalone zachowanie się tutaj źle się godzi z płaczącymi słowami, jakich używałeś pan, stojąc przed domem, a którymi, w bardzo niewłaściwej chwili, jak mi się teraz zdaje, obudziłeś moją litość. Z moją panią nie powinieneś pan i nie będziesz mówić. Jeśli nic złego nie zamierzasz uczynić, nie powinieneś się obawiać światła dziennego, przyjdź więc jutro i przedstaw swą prośbę! Teraz wynoś się pan z domu!

Nieznamy wydał głuche westchnienie, spojrzał błędnie

straszonym wzrokiem na dziewczynę i położył rękę na szyi. Martinière w milczeniu Bogu poleciła swoją duszę, ale stała odważnie i patrzyła mu śmiało w oczy, przytrzymując silnie drzwi, przez które musiałby przejść, aby się dostać do jej pani.

– Puść mnie do pani, mówię ci! – krzyknął nieznajomy raz jeszcze.

– Rób pan, co ci się podoba – odparła Martinière – ja stąd nie ustąpię. Dokończ dzieła, które rozpocząłeś! I ciebie spotka haniebna śmierć na placu de la Grève, jak twoich nędznych kompanów!

– Ha! – krzyknął nieznajomy – masz słuszość, Martinière, wyglądam jak rabuś, uzbrojony jestem jak morderca, ale moich kompanów nie spotkała jeszcze kara, nie są ukarani!

Mówiąc to, spojrział groźnie na śmiertelnie przerażoną dziewczynę i wyciągnął sztylet.

– Boże! – krzyknęła, wyczekując śmiertelnego ciosu.

W tej samej chwili rozległ się na ulicy szcęk oręża i tętent koni.

– Maréchaussée!... maréchaussée!... policja na pomoc! na pomoc! – krzyknęła Martinière.

– Straszna kobieto, pragniesz mojej zguby! Teraz wszystko stracone, wszystko stracone! Weź, weź to! Daj to swej pani dzisiaj, jutro, kiedy ci się podoba! – Mruczając cicho te słowa, nieznajomy wyrwał świecznik z rąk dziewczyny, zgasił świecę i wcisnął jej w ręce małą szkatułkę.

– Na zbawienie duszy zaklinam cię, oddaj swej pani tę

szkatułkę! – zawołał raz jeszcze i wybiegł z domu.

Martinière upadła na ziemię. Po chwili podniosła się z trudem, po omacku, w ciemności poszła do swego pokoju i wyczerpana, niezdolna z siebie głosu wydobyć, upadła na krzesło. Usłyszała teraz brzęk kluczy, które pozostawiła w bramie domu. Ktoś zamknął bramę; ciche, niepewne kroki zbliżały się do jej pokoju. Przykuta trwogą do miejsca, nie mając siły się poruszyć, oczekiwała najstraszniejszych rzeczy, toteż serce jej rozradowało się szczerze, skoro drzwi się rozwarły i przy blasku lampy od pierwszego wejrzenia poznała poczciwego Baptystę.

Był błydy jak trup i przerażony.

– Na wszystkie świętości, mów, Martinière, co się tutaj działo! Ach ta trwoga, ta trwoga! Nie wiem, co mi się stało, ale wczoraj wieczorem coś pchało mnie tutaj z wesela z nieprzepartą siłą. Nareszcie przybywam na tę ulicę. Martinière, myślę, nie śpi twardo, usłyszysz, gdy lekko zapukam do bramy, i otworzy. Wtem spotykam silny patrol, konnych, pieszych, zbrojnych od stóp do głów, którzy zatrzymują mnie i nie chcą wypuścić. Na szczęście był między nimi Desgrais, porucznik konnej policji. Zna mnie dobrze, więc kiedy mi podsunęli pod nos latarnię, mówi do mnie: „Ej, Baptysto, skądże wracasz tak późno? Powinieneś siedzieć w domu i pilnować. Tu nie jest bezpiecznie, jeszcze dziś w nocy czeka nas niezwykły połów.” Nie uwierzysz, Martinière, jakie wrażenie wywarły na mnie te słowa. A gdy wchodzę na próg, wypada z domu jakiś zakapturzony człowiek z błyszczącym sztyletem w ręce i pędzi przed siebie – dom otwarty, klucze w

zamku – mów, co to wszystko znaczy!

Martinière, ochłonawszy z trwogi, opowiedziała wszystko, co zaszło. Oboje zeszli do sieni i znaleźli na podłodze świecznik, porzucony tam przez nieznanego podczas ucieczki.

– Nie ma wątpliwości – rzekł Baptysta – że on chciał obrabować albo zamordować naszą panią. Jak mi opowiadałaś, wiedział o tym, że jesteście same w domu, co więcej, wiedział, że pani nie śpi jeszcze, że pisze. Był to z pewnością jeden z najgorszych łotrów i opryszków, którzy wdzierają się do wnętrza domu i podstępnie badają pierwaj wszystko, co im może ułatwić wykonanie ich szatańskich zamysłów. A tę małą szkatułkę najlepiej wrzucić do Sekwany, i to w najgłębszym miejscu. Któż może wiedzieć, czy jakiś przeklęty zbrodniarz nie czyha na życie naszej pani. Kto wie, czy pani, otworzywszy szkatułkę, nie padnie trupem, jak niedawno stary markiz de Tournay, gdy otworzył list, otrzymany od nieznanego.

Po długiej naradzie postanowili wreszcie wierni służący opowiedzieć nazajutrz wszystko swej pani i wręczyć jej tajemniczą szkatułkę, aby ją z należytą ostrożnością otworzyć. Oboje rozważali dokładnie wszystkie szczegóły pojawienia się podejrzanego nieznanego i nabrali przekonania, że wchodzi tu w grę jakaś szczególna tajemnica, której nie mogą rozstrzygać na własną odpowiedzialność, lecz muszą pozostawić swej pani do osądzenia.

Obawy Baptysty nie były bezpodstawne. Właśnie wówczas

był Paryż widownią najstraszniejszych występków, właśnie wówczas szatańskie wymysły piekła dostarczały najłatwiejszych środków zbrodni.

Aptekarz niemiecki Glaser, najlepszy chemik owych czasów, oddawał się, jak to czyniło wtedy wielu przedstawicieli tej gałęzi wiedzy, badaniom alchemicznym. Celem ich było odkrycie kamienia filozoficznego. W badaniach tych dopomagał mu Włoch nazwiskiem Exili. Dla niego sztuka robienia złota była tylko pozorem. W zupełnie innym celu pragnął on wyuczyć się mieszania, gotowania i skraplania trujących pierwiastków, po których oczekiwał mocy uzdrawiania. Po pewnym czasie udało mu się przyrządzić jedną z tych trucizn bez woni i smaku, które, zabijając albo od razu, albo powoli, nie pozostawiają żadnych śladów w ciele człowieka i wprowadzają w błąd sztukę i wiedzę lekarską, tak że lekarze, nie przeczuwając otrucia, muszą przypisać śmierć naturalnym przyczynom. Aczkolwiek Exili zabierał się bardzo ostrożnie do dzieła, został oskarżony o sprzedawanie trucizn i przewieziony do Bastylii. W tej samej celi zamknięto wkrótce potem kapitana Godin de Sainte Croix, który przez długi czas pozostawał w bliższych stosunkach z markizą de Brinwilliers, co spowodowało hańbę na cały ród i w końcu, ponieważ markiz nie reagował na występki swej małżonki, skłoniło jej ojca Dreux d'Aubraya, komendanta Paryża, chcącego rozdzielić występłą parę, do wydania rozkazu uwięzienia kapitana. Namiętny, bez charakteru, udający pobożność, a skłonny od młodości do wszelakich

występków, zazdrosny i mściwy, kapitan nie mógł niczego bardziej pragnąć niż zdobycia tajemnic współwięźnia, dawałyby mu one moc zgładzenia wszystkich wrogów. Toteż został najgorliwszym uczniem Exiliego i wkrótce dorównał mistrzowi, tak że wypuszczony z Bastylii mógł rozpocząć pracę na własną rękę.

Markiza de Brinvilliers była kobietą zwyrodniałą, Sainte Croix zrobił z niej potwora. Nakłonił ją najpierw do otrucia jej własnego ojca, u którego mieszkała, pielęgnując go z bezwstydną obłudą, potem obu braci, a wreszcie siostry. Ojca – przez zemstę, resztę rodziny – celem zyskania olbrzymiego spadku. Historia wielu trucicieli jest strasznym dowodem, że podobne zbrodnie stają się powoli nieprzepartą namiętnością. Bez żadnego celu, dla prostej przyjemności, tak jak chemik dla rozrywki wykonuje doświadczenia, mordują truciele ludzi, których życie lub śmierć są im zupełnie obojętne. Nagła śmierć wielu ubogich w Hôtel-Dieu wzbudziła później podejrzenie, że chleb, który markiza de Brinvilliers rozdawała tam co tydzień żebrakom, aby uchodzić za wzór pobożności i dobroczynności, był zatruty. Pewne jest, że zatrutowała pasztety z gołębi, którymi częstowała swych gości. Chevalier du Guet i kilka innych osób padło ofiarą tych szatańskich biesiad. Sainte Croix, jego pomocnik la Chaussée i markiza de Brinvilliers umieli przez długi czas swoje potworne występki osłaniać nieprzejrzaną tajemnicą, lecz jakąż najstraszniejsza zbrodnia może się ukryć, gdy wieczna potęga niebios już na ziemi postanowiła ukarać zbrodniarzy?

Trucizny przyrządzane przez kawalera Sainte Croix były tak straszne, że gdy proszek nie był szczelnie zamknięty (paryżanie nazywali go *poudre de succession*, proszek spadkowy), wystarczył jeden wdech, aby paść trupem na miejscu. Dlatego Sainte Croix używał przy swych pracach szklanej maski, zakrywającej całą twarz. Pewnego dnia, kiedy chciał wsypać do fiolki gotową truciznę, maska spadła mu z twarzy, a on runął nieżywy na ziemię, wciągnąwszy w płuca nieco drobnieńkiego pyłku trucizny. Ponieważ umarł nie zostawiając potomków, sądy postanowiły opieczętować jego spuściznę. Przy tej sposobności znaleziono w zamkniętej skrzyni cały arsenał piekielnych trucizn, a także listy od pani de Brinvilliers, które w sposób niewątpliwy dowodziły jej winy. Markiza uciekła do klasztoru. Wyślano w pogoń Desgrais'go, urzędnika policji. W przebraniu duchownego zjawił się w klasztorze. Udało mu się zdobyć miłość tej przewrotnej kobiety i namówić ją na tajemną schadzkę w pewnym ogrodzie poza miastem. Zaledwie jednak tam przybyła, otoczyli ją siepacze Desgrais'go, a duchowny kochanek przedzierzgnął się nagle w urzędnika policji, który polecił markizie wsiąść do karety, stojącej w pogotowiu poza obrębem ogrodu. W otoczeniu siepaczy karetę odjechała w kierunku Paryża. La Chaussée już wcześniej został ścięty, markizę dosięgła podobna śmierć. Ciało jej po straceniu spalono, a proch rozsypano na wszystkie strony świata.

Paryżanie odetchnęli, gdy już zniknął ze świata potwór, który tajemną, morderczą broń bezkarnie kierował przeciwko

przyjaciołom i wrogom. Wkrótce przekonano się jednak, że straszna sztuka kawalera de Sainte Croix nie znikła ze świata bezpotomnie. Jak niewidzialne, podstępne widmo, wślizgiwał się mord do najściślejzego koła, jakie tworzy przyjaźń, miłość, pokrewieństwo i powalał pewnie i szybko nieszczęśliwe ofiary. Kto dziś jeszcze chodził zdrow i szczęśliwy, padał nazajutrz bez życia, a sztuka lekarzy nie mogła go obronić przed śmiercią. Bogactwo, korzystne stanowisko, piękna, może zbyt młoda kobieta były wystarczającym powodem śmiertelnego prześladowania. Najstraszniejsza nieufność rozluźniła najświętsze węzły. Mąż drżał przed żoną, ojciec przed synem, siostra przed bratem. Potrawy i wina nie tknięte zostawały na stole biesiadnym, który przyjaciel zastawiał dla przyjaciela; tam gdzie dawniej gościła swoboda i wesołość, przerażone oczy szukały ukrytych morderców. Można było widzieć ojców rodzin, kupujących trwożnie środki żywności na odległych przedmieściach i gotujących je własnoręcznie w brudnych garkuchniach, bo we własnym domu obawiali się piekielnej zdrady. A przecież i największa, najtroskliwsza przeczność była czasem daremną.

Aby zapobiec rosnącemu ciągle występкови, powołał król specjalny trybunał, któremu polecił wyłącznie sądenie i karanie tych tajemnych zbrodni. Była to tak zwana *Chambre ardente*, która odbywała swe posiedzenia niedaleko Bastylli. Na jej czele stał la Regnie. Ale przez długi czas wszystkie jego najgorliwsze usiłowania były bezowocne; wykrycie najtajniejszych kryjówek

występku przypadło w udziale przebiegłemu panu Desgrais.

Na przedmieściu Saint-Germain mieszkała stara kobieta, nazwiskiem Voisin, która trudniła się wróżeniem i zaklinaniem duchów, a z pomocą swych towarzyszy le Sage'a i le Vigoureux wprawiała w podziw i trwogę nawet osoby wcale nie łatwowierne. Ale zajmowała się ona także czym innym. Uczennica Exiliego, podobnie jak Sainte Croix, przyrządzała trucizny nie pozostawiające śladów i pomagała wyrodnym synom do szybkiego osiągnięcia spadku, wyrodnym żonom do zdobycia drugiego, młodszego małżonka. Desgrais wykrył jej tajemnicę – przyznała się do wszystkiego. *Chambre ardente* skazała ją na śmierć przez spalenie na stosie, a wyrok wykonano na placu de la Grève. Znalaziono u niej listę wszystkich, którzy korzystali z jej pomocy; i nie tylko że egzekucja następowała po egzekucji, ale ciężkie podejrzenia zwróciły się nawet przeciwko osobom zajmującym bardzo wysokie stanowiska. I tak mówiono, że kardynał Bonzy znalazł u pani Voisin środki na uśmiercenie w krótkim czasie wszystkich osób, którym, jako arcybiskup Narbonne, musiał płacić pensje. Podobnie oskarżono księżnę de Bouillon, hrabinę de Soissons, których nazwiska znalaziono na liście, o związki z przewrotną kobietą, nie oszczędzono nawet księcia Henri de Montmorency, Boudebelle'a, księcia Luksemburga, para i marszałka Francji. I jego także ścigała *Chambre ardente*. On sam zgłosił się do więzienia w Bastylii, gdzie go zionący nienawiścią Louvois i la Regnie wtrącili do lochu długości sześciu stóp. Miesiące minęły, nim wyszło na jaw,

że przestępstwo księcia nie zasługiwało wcale na karę. Kazał kiedyś, by le Sage postawił mu horoskop.

To pewna, że ślepą gorliwością kierował się prezydent¹ la Regnie w tych aktach gwałtu i okrucieństwa. Trybunał przyjął w zupełności charakter inkwizycji, najbłahsze podejrzenie było wystarczającym powodem surowego więzienia i często od przypadku tylko zależało wykazanie, że ktoś niewinnie został skazany na śmierć. La Regnie miał nieprzyjemny wygląd i złośliwą naturę, tak że wkrótce ściągnął na siebie nienawiść tych, których był mścicielem i obrońcą. Księżna de Bouillon zapytana przez niego w czasie przesłuchania, czy widziała diabła, odrzekła: „Zdaje mi się, że widzę go w tej chwili”.

Strumieniami lała się krew zbrodniarzy i podejrzanych na placu de la Grève, a tajemne trucicielstwo stawało się z wolna coraz rzadsze, gdy nagle pojawiły się zbrodnie innego rodzaju, które znowu wywołały powszechne zaniepokojenie. Zdawało się, że banda opryszków postanowiła wszystkie kosztowności Paryża zgromadzić w swym ręku. Kosztowne klejnoty, zaledwie zakupione, znikwały w niepojęty sposób, bez względu na to, jak i gdzie były ukryte. Co gorsza, ludzi, którzy odważali się mieć przy sobie kosztowności, wieczorami obrabowywano wprost na ulicy lub w ciemnych kruzgankach domów, nieraz mordowano nawet.

Ci, którzy zdołali ująć z życiem, opowiadali później, że uderzenie pięścią w głowę powalało ich jak piorun na ziemię, a

¹ *prezydent* – tu: przewodniczący sądu. [zprypis edytorski]

gdy później wracali do przytomności, znajdowali się, obrabowani doszczętnie, w całkiem innym miejscu, nie tam, gdzie ich cios powalił. Zamordowani, których prawie codziennie rano znajdowano na ulicach lub w domach, mieli wszyscy podobne rany. Wszyscy otrzymywali cios sztyletem w serce, uśmiercający, zdaniem lekarzy, tak pewnie i szybko, że raniony bez jęku padał na ziemię.

Nie było wówczas na słynącym ze swobodnych obyczajów dworze Ludwika XIV prawie nikogo, kto by się nie oddawał tajemnym miłostkom i nie biegł nieraz w nocy do ukochanej z kosztownymi podarkami. A zbrodniarze, jak gdyby w porozumieniu z niewidzialnymi duchami, zawsze dokładnie o tym wiedzieli. Nieraz nieszczęśliwy nie miał czasu dojść do domu, gdzie nań szczęście czekało; nieraz padał na progu, nieraz nawet przed drzwiami pokoju kochanki, która z przerażeniem odnajdywała jego skrwawione zwłoki.

Na próżno d'Argenson, minister policji, kazał więzić wszystkich, którzy wydawali się podejrzanymi, na próżno la Regnie szalał i starał się wymusić zeznania, na próżno wzmocniano strażę i patrole – nie można było znaleźć śladu zbrodniarza. Tylko największa przezorność, uzbrojenie od stóp do głowy, orszak z pochodniami, zabezpieczała poniekąd przed śmiercią, chociaż zdarzały się i takie wypadki, że służącego odpędzano kamieniami, a w tej samej chwili mordowano i rabowano jego pana.

Najdziwniejszym było to, że wszelkie poszukiwania we

wszystkich miejscach, gdzie się tylko odbywał handel kosztownościami, nie zdołały wykryć ani jednego ze zrabowanych klejnotów. Wskutek tego brakło najmniejszego choćby śladu, który mógłby naprowadzić na trop zbrodniarza.

Desgrais pieniał się z wściekłości, że rabusie umieli ujść nawet jego sprytowi. Dzielnica miasta, w której się znajdował w danej chwili, była bezpieczna przed napadem, ale równocześnie w innej, gdzie nikt nie przypuszczał nic złego, skrytobójca wyszukiwał swe bogate ofiary.

Desgrais wpadł wreszcie na nowy pomysł. Rozpuścił po mieście kilku ludzi, tak do niego podobnych z ruchów, mowy, postaci, twarzy, że nawet ajenci policyjni nie mogli rozpoznać, gdzie prawdziwy Desgrais się znajduje. Desgrais zaś, narażając życie, czał się po najskrytszych zaułkach, to szedł za tym lub owym, który z jego polecenia miał przy sobie kosztowności. Na takiego nie napadano nigdy, więc rabusie wiedzieli widocznie dobrze o użyciu nowego podstępu. Desgrais popadł w zwątpienie.

Pewnego dnia przyszedł Desgrais do prezydenta la Regnie błądy, prawie nieprzytomny.

– Co się stało, jakie wiadomości? Znalazłeś ślad? – wołał prezydent.

– Ha, łaskawy panie – odrzekł Desgrais nie mogąc mówić z wściekłości – ha... wczoraj w nocy niedaleko Louvre'u napadnięto markiza de la Fare w mojej obecności.

– Na Boga, mamy ich – zawołał rozradowany la Regnie.

– O, posłuchaj pan najpierw, co zaszło – rzekł Desgrais z gorzkim uśmiechem. – Stoję koło Louvre'u i czatuję na tych szatanów, którzy szyczą z wszelkiego pościgu. Wtem zbliża się ku mnie niepewnym krokiem jakiś człowiek, który ogląda się ciągle za siebie i nie widzi mnie wcale. W świetle księżyca poznaję markiza de la Fare. Mogłem się go tam spodziewać; wiedziałem, dokąd idzie. Ale zaledwie oddalił się ode mnie o dziesięć lub dwanaście kroków, wypada, jak spod ziemi, jakaś postać, obala go na ziemię i rzuca się na niego. Uradowany wypadkiem, który mógł wydać zbrodniarza w moje ręce, krzyknąłem głośno i chciałem skoczyć ku niemu z mojej kryjówki. Wtem zaplątałem się w płaszcz i upadłem. Widzę, iż ów człowiek ucieka, jak wichrem pędzony; zrywam się, biegnę za nim – biegnąc daję znak trąbką – z daleka odpowiadają mi świstaki agentów² – ulice ożywiają się – ze wszech stron słychać szczęk oręża i tętent koni.

„Tutaj, tutaj! Desgrais, Desgrais!” – krzyczę, aż się rozlega. Ciągle widzę go przed sobą w blasku księżyca; aby zmylić mój pościg, zawraca tu i tam. Dobiegamy do ulicy Nicaise; siły jego widocznie słabną, ja wyteżam wszystkie, jeszcze tylko piętnaście kroków dzieli mnie od niego...

– Doganiasz go pan, chwytasz, nadbiegają ajenci – zawołał la Regnie z płonąącym wzrokiem, chwyając Desgrais'go za ramię, jak gdyby on był tym uciekającym zbrodniarzem.

– Na piętnaście kroków przede mną – mówił dalej Desgrais,

² *agent* – dziś: agent, tu: policjant. [przypis edytorski]

oddychając ciężko – na piętnaście kroków przede mną człowiek wskakuje w cień i znika w murze.

– Znika? W murze! Czyś pan oszalał! – krzyknął le Regnie, odstępując od niego na dwa kroki i załamując ręce.

– Nazwij mnie pan szalonym, zabobonnym – kończył Desgrais opowiadanie trąc czoło jak człowiek dręczony przykrą myślą – ale tak właśnie było, jak panu opowiadam. Osłupiały stoję przed murem. Nadbiegają bez tchu ajenci, wraz z nimi markiz de la Fare, który już oprzytomniał, z dobytym mieczem w ręku. Zapalamy pochodnie, badamy mur ze wszech stron; nigdzie ani śladu drzwi, okna lub otworu. Mocny kamienny mur przytyka do domu zamieszkanego przez ludzi, na których nie może paść nawet cień podejrzenia. Dzisiaj jeszcze raz obejrzałem wszystko dokładnie. To sam szatan nas chyba zwodzi.

Wypadek, jaki spotkał pana Desgrais'go, rozniósł się po Paryżu. Ponieważ głowy i tak już były pełne opowiadań o czarnoksiężstwie, zaklinaniu duchów, związkach pani Voisin, Vigoureux, sławnego duchownego le Sage'a z szatanem, więc też, zgodnie z wrodzonym naszej naturze pociągami do wszystkiego, co nadprzyrodzone i cudowne, niedługo wierzono powszechnie, że zbrodniarze, jak to Desgrais w z wątpieniu był powiedział, zapredali diabłu swe dusze i znajdują się pod jego opieką. Oczywiście do historii pana Desgrais'go dodano niejedną zmyślony szczegół. Opowieść tę, ogłoszoną drukiem i ozdobioną ryciną, przedstawiającą ohydny postać diabła, zapadającego się

w ziemię przed przerażonym panem Desgrais, sprzedawano na wszystkich rogach. Wystarczyło to, aby ostatecznie przerazić ludność i odebrać odwagę nawet agentom, którzy odtąd błakali się w nocy trwożnie i nieśmiało po ulicach, obwieszeni amuletami i złani wodą święconą.

D'Argenson widząc, że wszystkie usiłowania *Chambre ardente* są daremne, udał się do króla i prosił go o ustanowienie nowego trybunału, który by, jeszcze rozleglejszą mając władzę, śledził i karał nowych zbrodniarzy. Ale król, przekonany, że już *Chambre ardente* za wielką dał władzę, zmartwiony okrucieństwem niezliczonych wyroków śmierci, wydanych przez krwawego sędziego la Regnie, odrzucił projekt.

Obmyślono inny sposób, aby pozyskać króla dla tej sprawy.

W komnatach pani de Maintenon, gdzie król zwykł był spędzać popołudnia, a nawet pracować ze swymi ministrami do późnej nocy, w imieniu zagrożonej miłości wręczono królowi poemat, w którym kochankowie skarżyli się, że chcąc dopełnić obowiązków galanterii i wręczyć ukochanej kosztowne podarki, muszą ustawicznie narażać swoje życie. Zaszczycem i rozkoszą jest w rycerskim boju przelać krew za ukochaną, inaczej rzecz się ma w wypadku podstępного napadu zbrodniarza, przeciwko któremu nie można się obronić. Ludwik, jaśniejąca gwiazda przewodnia miłości i galanterii, może rozproszyć ciemności nocy i odsłonić kryjącą się w nich tajemnicę. Bohater, który pogromił wrogów, dobędzie teraz znowu błyszczącego oręża i jak Herkules hydrę lernejską, jak Tezeusz Minotaura, tak

on pokona groźnego potwora, który wszelką radość zmienia w głęboki ból, w beznadziejny smutek.

Jakkolwiek rzecz była zupełnie poważna, nie brakowało jednak w onym poemacie pomysłów, dowcipnych zwrotów, zwłaszcza w odmalowaniu, jak to kochankowie na tajemniczej ścieżce do ukochanej doznają lęku, jak to strach w załączku już uśmierca miłosny animusz, niszczy piękną przygodę galantów. Kończył się utwór wspaniałym panegirycznym cześć Ludwika XIV, który król przeczytał z widocznym zadowoleniem. Skończywszy, król – nie odrywając oczu od papieru – żywo zwrócił się do pani de Maintenon, raz jeszcze głośno odczytał poemat, po czym z miłym uśmiechem zapytał, co myśli o życzeniach narażonych na niebezpieczeństwo kochanków. Pani de Maintenon – zawsze wierna powadze swego usposobienia, zawsze z zabarwieniem pewnej bogobożności – odpowiedziała, że tajemne, zakazane drogi nie potrzebują szczególniejszej opieki, natomiast tak straszne zbrodnie zasługują na zastosowanie specjalnych środków, mogących je wytepić. Król, niezadowolony z jej wymijającej odpowiedzi, złożył papier i chciał już odejść do sekretarza, pracującego w sąsiednim pokoju, gdy nagle wzrok jego padł na pannę de Scudéry, która była przy tym obecna i siedziała w małym krześle poręczowym tuż obok pani de Maintenon. Przystąpił do niej, a łagodny uśmiech, który przed chwilą znikł z jej twarzy, pojawił się znowu. Stanąwszy tuż przy niej, rozwinął powtórnie poemat i spytał uprzejmie:

– Markiza nie chce nic wiedzieć o zalotach naszych zakochanych panów i daje mi wymijającą odpowiedź. A pani co sądzi o tej poetycznej prośbie?

Panna de Scudéry z należąca czcią powstała z krzesła. Przelotny rumieniec jak wieczorna purpura zaróżowił bladą twarz starej, szacownej damy. Skłoniła się lekko i rzekła ze spuszczonej oczyma:

Un amant, qui craint les voleurs,
n'est point digne d'amour.³

Król, zadziwiony rycerskim duchem tych kilku słów, które obalały poemat wraz z jego łokciowej długości tyradami, zawołał z błyskiem w oku:

– Na świętego Dionizego, masz pani rację! Ślepe środki ostrożności, dotykające zarówno winnych jak niewinnych, nie mogą ochraniać tchórzostwa. Niech d'Argenson i la Regnie pełnią dalej swoje obowiązki.

Martinière najżywszymi barwami odmalowała wszystkie okropności tego czasu, opowiadając nazajutrz swej pani o tym, co zaszło poprzedniej nocy. Drżąc i dygocąc, oddała jej też tajemniczą szkatułkę. Zarówno ona, jak Baptysta, który, blady z trwogi i zakłopotania, stał w kącie pokoju, gniotąc w rękę czapkę, niezdolny prawie słowa wymówić, zaklinali swą panią

³ *Un amant, qui craint les voleurs, n'est point digne d'amour* (fr.) – Kochanek, który obawia się złodziei, nie jest godzien miłości. [przypis tłumacza]

na wszystkie świętości, aby otwierała szkatułkę z możliwie największą ostrożnością. Panna de Scudéry, wążąc w rękę zamkniętą tajemnicę i oglądając ją, przemówiła z uśmiechem:

– Oboje widzicie upiory. O tym, że nie jestem bogata, że nie znajdują u mnie skarbów godnych zabójstwa, wiedzą tajemniczy zbrodniarze, którzy przecież wedle waszych słów badają najskrytsze tajniki domów. Wiedzą o tym równie dobrze, jak ja i wy. Ktoś miałby się porwać na moje życie? Komuż mogłoby zależeć na śmierci siedemdziesięcioletniej osoby? Nie prześladowałam nigdy nikogo prócz zbrodniarzy i niegodziwców w romansach przeze mnie samą stworzonych; piszę nie najlepsze wiersze, nie mogące wzbudzić niczyjej zazdrości, nie pozostawię nic prócz dobytku starej panny, bywającej niekiedy u dworu, której całym majątkiem jest kilka pięknie oprawnych książek za złoconymi brzegami. I chociaż, dobra Martinière, opisujesz tak strasznie postać nieznanego, nie mogę przypuścić, aby miał jakieś złe zamiary. Więc!...

Martinière odskoczyła w tył, a Baptysta z głuchym okrzykiem upadł prawie na kolana, gdy panna de Scudéry nacisnęła wystający stalowy guzik, a wieko szkatułki z trzaskiem odskoczyło.

Panna de Scudéry zdziwiła się niezmiernie, gdy z wnętrza szkatułki błysnęła para złotych, bogato drogimi kamieniami zdobnych bransolet i równie piękny naszyjnik. Wyjęła klejnoty ze szkatułki i podziwiała misterną robotę naszyjnika. Równocześnie Martinière oglądała bogate bransolety, wołając

raz po raz, że nawet dumna pani de Montespan nie posiada podobnych kosztowności...

– Ale co to jest? Co to ma znaczyć – mówiła panna de Scudéry.

W tej samej chwili zauważyła na dnie szkatułki małą zwiniętą kartkę. Słusznie spodziewała się znaleźć w niej rozwiązanie tajemnicy. Ale skoro tylko przeczyła jej treść, kartka wypadła z jej drżących rąk. Spojrzała z niemym zapytaniem w niebo i na w pół przytomna upadła na krzesło. Martinière i Baptysta skoczyli ku niej przerażeni.

– O! – zawołała głosem zduszonym łzami – o, cóż za hańba, cóż za zniewaga! W moim późnym wieku tego musiałam doczekać?! Cóż zrobiłam, wiedziona nierozsądną lekkomyślnością, jak młode, niedoświadczone dziewczę! O Boże, czyż słowa na w pół żartem wypowiedziane można tłumaczyć tak okropnie? Czyż cnotą i pobożnością, jakie pielęgnuję od lat najmłodszych, mogłam zasłużyć na zarzut tak szatańskiego współnictwa?!

Panna de Scudéry podniosła chusteczkę do oczu i łkała tak gwałtownie, że Martinière i Baptysta, oboje strwożeni i zakłopotani, nie wiedzieli, jak pomóc swej dobrej pani w jej ciężkim zmartwieniu.

Martinière podniosła z ziemi tajemniczą kartkę.

Były na niej następujące słowa:

Un amant, qui craint les voleurs,

n'est point digne d'amour.

Twój bystry umysł, Czcigodna Pani, ocalił nas od wielkiego prześladowania za to tylko, że korzystamy z prawa silniejszych wobec słabości i tchórzliwości i przywłaszczamy sobie skarby, które by inaczej w niegodny roztrwoniono sposób. Jako wyraz naszej wdzięczności racz, Pani, przyjąć te klejnoty! Są one najkosztowniejsze ze wszystkich, jakie od długiego czasu zdołaliśmy osiąść, aczkolwiek Tobie, Czcigodna Pani, przystałyby klejnoty piękniejsze od tych. Prosimy, abyś raczyła nie zapominać o okazywanej nam przyjaźni i zachowała miłe wspomnienie.

Niewidzialni

– Czyż to możliwe – zawołała panna de Scudéry, ochłonawszy nieco – aby ktoś mógł się tak daleko posunąć w bezwstydnym szyderstwie i bezczelności!

Słońce przeświecało jasno przez purpurowe firanki w oknach, a brylanty, leżące na stole obok otwartej szkatułki, rozblęsnęły wspaniale czerwonym blaskiem. Panna de Scudéry, spostrzegłszy je, zakryła oblicze z przestachem i rozkazała służącej, by natychmiast usunęła straszliwe klejnoty, splamione krwią pomordowanych. Martinière, schowawszy spiesznie bransolety i naszyjnik do szkatułki, ośmieliła się zauważyć, że najlepiej byłoby oddać klejnoty ministrowi policji i opowiedzieć mu o wszystkim, co zaszło, zarówno o przerażonym młodzieńcu, jak o wręczeniu szkatułki.

Panna de Scudéry powstała i przez chwilę powoli i w

milczeniu chodziła po pokoju, jak gdyby zastanawiając się dopiero, co powinna uczynić. Potem rozkazała Baptyście sprowadzić lektykę, a służącej pomóc sobie przy ubieraniu, gdyż postanowiła udać się natychmiast do markizy de Maintenon.

Kazała się zanieść do markizy właśnie w tej godzinie, o której – jak wiedziała – markiza była sama w swoich komnatach. Szkatułkę z klejnotami zabrała ze sobą.

Markiza zdziwiła się niemało, skoro ujrzała, że panna de Scudééy, zawsze pełna godności a nawet wdzięku, mimo podeszłego wieku, weszła do pokoju blada, zmieniona na twarzy, drżąca.

– Na miły Bóg, co się pani stało? – zapytała biedną przerażoną damę.

Panna de Scudéry, prawie nieprzytomna, zaledwie mogła ustać na nogach i usiłowała tylko śpiesznie podejść do krzesła, podanego jej przez markizę. Wreszcie, gdy już mogła przemówić, opowiedziała, jak głęboką, nie dającą się przeboleć przykrość spowodował ów nierozważny żart, którym odpowiedziała na prośbę nieszczęśliwych kochanków. Markiza, wywiedziawszy się szczegółowo o wszystkim, wyraziła przekonanie, że panna de Scudéry zanadto bierze do serca to niezwykle zdarzenie, tym więcej że szyderstwo bezwstydniej tłuszczy nie może nigdy dotknąć pobożnego, szlachetnego ducha. Zapragnęła też zobaczyć klejnoty.

Panna de Scudéry podała jej otwartą szkatułkę, a markiza na widok klejnotów nie mogła powstrzymać głośnego okrzyku

zdziwienia. Wyjęła bransolety i naszyjnik i podeszła z nimi do okna, gdzie już to poruszała nimi, aby rozbłyły w słońcu barwami, to znowu zbliżała do oczu misterne dzieło, aby dokładnie zobaczyć, jak kunsztownie było obrobione każde ogniwo zawilego łańcucha.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.